PODEYRZLIWOSC
KOMEDYA

Napiſana przez X. Nikodema Muśnickiego S. J. i do Druku

PODANA

w POŁOCKU

w Drukarni Coll: Soc: JESU.

Roku Pańſkiego 1802.

OSOBY

ROBERT Kawaler

ALKANDER } Przyiaciele
KLEANDER } Roberta

FRONTYN Lokay Roberta

Scena w domu Roberta

AKT I.

SCENA I.

ROBERT, FRONTYN.

FRONTYN.

Jak ieſtem Frontyn, to tak WCPan zrob! Napji się tylko troche WCPan tego wina, które dziś na obiad dla ſwoich przyiacioł natoczyć kazałeś, a wſzyſtkie od WCPana do nieſzczęścia melancholie ucieką!

ROBERT *siedząc:*

Natoczyłeś owego wina, którego kazałem?

FRONTYN.

Tego ſamego, które WCPana z ſamym diabłem pogodzićby mogło, nie tylko z Panem Alxan-

drem i Kleandrem: tak wino przednie. Wypji tylko WMPan kieliſzek tego wina.

ROBERT *wstając.*

Dobrze, przynieś mi karafinkę owego wina,

SCENA II.

ROBERT

Doświadczę dziś mego Frontyna. Już uważam, że nie na pamięć to wino chwali; musiał tocząc ſkoſztować. Pokazuie to iego rezon. Dam mu ieſzcze trochę. Bez tego z natury ſamey doſyć ſię zdaie ſzczerym. Mogę dziś z niego wiele wyczerpnąć.

SCENA

SCENA III.

ROBERT FRONTYN z Karafinką i kieliſzkiem. Nalewa.

ROBERT.

Wypji. Czekam z twoich rąk.

FRONTYN.

Ach Mospanie! Jak ia mam pierwſzy pić!

ROBERT.

Jak? Otworzywſzy gębę.

FRONTYN.

Ale WCPan ze mnie żartuieſz!

ROBERT *kłaniaiąc ſię Frontynowi:*

Jeżeli mam cokolwiek łaſki.

FRONTYN.

A iuż ci też żeby Pan dłużey nie żartował, muſzę prędzey wypić. *Wypjia i Panu nalewa.*

ROBERT *wypiwſzy kieliſzek:*

Wypji resztę.

FRONTYN.

Jak to? resztę tey flaszki?

ROBERT.

Tak ieſt.

FRONTYN.

Y nie żartuieſz WCPan?

ROBERT.

Nie.

FRONTYN.

J wſzyſtko wypić aż do dna?

ROBERT.

Jeżeli ſłużу appetyt:

FRONTYN.

Och! na pańſki rozkaz u ſługi zawsze być powinien appetyt gotowy. *Wypjia jednym tchem karafinkę, kłania ſię Panu, karafinkę i kieliſzek gdziekolwiek ſtawia.* Ja mówię, że żyć i umierać z takim Panem; i kiedy mam ſzczerze WCPanu powiedzieć, to bym ia mego Pana *Roberta* nie handlował ani na Alexandra Wielkiego, ani.... kaci wiedzą na kogo!

ROBERT *ſiadając znowu.*

J także to w rzeczy ſamey ieſteś ze mnie zupełnie kontent? Tak teraz mówiſz, że ciebie grzecznie poczęſtowałem; w rzeczy zaś ſamey wiem...

FRON-

FRONTYN.

Co! ia WCPanu ſzczerze powiem... Ale czy chcesz WCPan żebym WCPanu ſzczerze powiedział?

ROBERT.

Mów, będę bardzo kontent.

FRONTYN.

Y nie rozgniewaſz ſię czaſem WCPan?

ROBERT.

Bynaymniey.

FRONTYN.

Mnie tylko, Moſpanie, trudno zacząć, ia ieſtem takiey natury; a iak raz co zacznę, to wſzyſtko powiem.

ROBERT.

Mów.

FRONTYN.

Oto tak Moſpanie. Ja z WC. Pana ieſtem zupełnie kontent, tylko iedney rzeczy w WCPanu cierpieć nie mogę.

ROBERT.

Jakiey?

FRONTYN.

Ja tego barzo nie lubię, że

WCPan barzo ieſteś podeyrzliwy.

ROBERT.

Jak to?

FRONTYN.

Tak ieſt. WCPan wieſz prawie wſzyſtko, co ia myślę Ja nie wiem, kto WCPanu mówi.

ROBERT.

Nikt mnie nie mówi.

FRONTYN.

Ale WCPan sam dochodzisz. A to ieſt podeyrzliwość, *Mospanie!* Lada z iakiego mego *ſłówka*, lada z iakiego znaku WCPan zgadywasz co u mnie w sercu. Czy to godzi się?

ROBERT.

Y zgadywam więc częſto?

FRONTYN.

Bardzo częſto!

ROBERT.

Coż ia mam robić, kiedy się mnie udaie?

FRONTYN.

Ale nie trzeba żeby się udawało. To, Moſpanie, nie po Chrześciańſku!

RO-

ROBERT.

Trzeba się więc będzie poprawić. Poczekayże. Powiedziałeś mnie, co sam o mnie myślisz. Powiedz mnie teraz, co drudzy o mnie myślą i mówią.

FRONTYN.

Co myślą, ia niewiem, bo nie umiem tak zgadywać myśli cudzych iak WCPan, co się zaś tycze mówienia, to i drudzy mówią to o WCPanu, co i ia: że ieſteś podeyrzliwy; i prawdę mówią.

ROBERT.

To toż samo mówią o mnie i Pan Alkander i Pan Kleander, ktorzy tu ſą u mnie?

FRONTYN.

Od tych nic nie ſłyſzałem, czy to że oni ſą oſtróżni i nie tak ſzczerzy iak ia, czy że nie znaią tak iak ia WCPana, czy wreszcie że WCPan nie umiesz tak zgadywać ich myśli iak moie.

ROBERT.

Cóż oni iednak o mnie mówią?

FRONTYN.

Nic, albo mówią dobrze.

ROBERT.

Cóż ty o nich ſądzisz?

FRONTYN.

A co mam sądzić? Są oba Kawalerowie godni. Pana Alkandra WCPan sam naylepiey znać musisz, bo z nim masz tak dawną znaiomość i przyiazń; Pan Kleander zaś, choć iego ieszcze dobrze nie znam, iednak mnie podoba się.

ROBERT.

Czemuż się tobie podoba?

FRONTYN.

Tak ieſt grzeczny, dobry, i nic mnie złego nie zrobił.

ROBERT.

Sądziszże ty, że oba są moiemi szczeremi i prawdziwemi przyiaciołami?

FRONTYN.

A czemu nie?

ROBERT.

Na iakichże fundamentach tak sądzisz?

FRON-

FRONTYN.

Ja nie umiem tych fundamentow. To WCPan nad każdą rzeczą myślisz, każdą rzecz ważysz, nieuiesz, i końca nie ma.

ROBERT.

A tyż iak sądzisz o rzeczach?

FRONTYN.

Ja sam niewiem. To tylko wiem, że sądzę prędzey, niż WCPan.

ROBERT.

Powiedzże mnie, w tych przynaymniey dniach, wczora i pozawczora, nie gadali czego o mnie ci dway moi przyiaciele, czy z sobą czy, przed drugiemi?

FRONTYN.

Wczora pytalisię mnie oba, czy nie chory WCPan iesteś? Bo też WCPan w tych dniach bardzo kwaśny iesteś, iak czasem bywać zwykłeś. Ja odpowiedziałem, że może troche chory, a może i troche dziwaczy. Bo móy Pan to czasem umie.

ROBERT.

Jak to? Y tak w rzeczy samey odpowiedziałeś?

FRONTYN.

Y cóż to ſtrasznego, kiedy dodałem, że trochę? Żebym tego ſłowa nie dodał, to co inszego. Ale trochę dziwaczyć, to mnie się zdaie, że każdy potrafi. Ja sam kiedy trochę długo muszę czekać na WCPana siedzącego wieczorem nad książką, i kiedy trochę nie wyspię się, to ieſtem trochę nazaiutrz dziwak. Cóż robić? A do tego mnie się żdaie, że i oni sami WCPana znać trochę muszą. WC Pan z niemi co raz to wadzisz się, to godzisz się. Kiedy WC. Pan tego wina natoczyć każesz, którego dziś natoczyłem, to iuż u mnie znak, że WCPan z swemi przyiaciołami godzisz się. Już tego doświadczyłem. A iuż drugi raz tego miesiąca to wino toczę.

RO-

ROBERT.

Alkander nadchodzi. Ty idź tym czasem do Pana Kleandra, i spytay go, czy ma czas, abym go przed obiadem mógł nawiedzić.

FRONTYN.

Idę. Wszakże wolałbym, żeby się WCPan z Panem Alkandrem bawił niż z Panem Kleandrem. Bo pierwszy podobny do mnie, i tak wesoł iak ia; drugi zaś podobny do WCPana, i taki melancholik iak WCPan. WCPanu zaś melancholii nie potrzeba dodawać.

SCENA IV.

ROBERT, ALKANDER.

ALKANDER.

Dobry dzień, kochany Robercie.

ROBERT.

Sługa WCPana. Siedzieć proszę.

AL-

ALKANDER.

Zkądże te ceremonie? Zapewne ciebie, przyiacielu, musiała znowu iaka mucha ukąsić. Już widzę od dni kilku, że masz coś do mnie. Mówże więc, co tam takiego. Przyszedłem tu moich petulantesow słuchać. Siadaymy. (*bierze za rękę Roberta, i siada z nim na kanapie*) Mów mnie, co tam do mnie masz.

ROBERT.

Powiem, ieżeli WCPan chcesz, i pozwalasz, i ieżeli się nie urazisz.

ALKANDER

Czy WCPan mnie nie znasz? Czy to u nas pierwszy raz?

ROBERT.

Czy pierwszy raz! To iuż mnie WCPan tym pytaniem przymawiasz, że iestem podeyrzliwy! Ale wiedz iednak WCPan, że się w swym zdaniu bardzo mylisz. Y powiadam WCPanu ...

ALKANDER.

Ale, mnieysza oto, to na koniec.

niec. Mów WCPan, co tam masz do mnie okrom tego.

ROBERT.

Więc powiem iednym słowem: że od nieiakiegoś czasu widzieć zdaię się w WCPanu nieiaką odmianę względem naszey przyiazni.

ALKANDER.

Niema odmiany żadney, zaręczam. Co daley?

ROBERT.

WCPan obcuiesz chętniey z Panem Kleandrem moim gościem niż zemna.

ALKANDER.

Fałsz.

ROBERT.

WCPan z nim częściey gadasz niż zemną.

ALKANDER.

To może być prawda.

ROBERT.

A co to znaczy?

ALKANDER.

To znaczy, że to iest gość ieszcze niedawny, człowiek woiażer, który wiele widział, wie-

le

le ma do mówienia. Naturalna rzecz tedy, że z nim chętnie obcuję z ciekawości. Co więcey?

ROBERT.

WCPan wczora u ſtołu nagle na mnie ſpóyrzawszy parsknąłeś ze śmiechu. Y kiedy WC. Pana pytałem o przyczynie, powiedzieć nie chciałeś? Y cóż to ma znaczyć?

ALKANDER.

To ma znaczyć, że poſtrzegłem jak Frontyn schyliwszyſię za WCPana krzeſło ciągnął wino z butelki; kiedy ſię zaś rozsmiałem i WCPan mnie pytałeś o przyczynie nagłego smiechu, Frontyn znakami i geſtami uſilnie mnie proſił, żebym go nie wydawał. Oto cała rzecz. Co daley?

ROBERT.

Cóż to przynaymniey miało znaczyć, że pozawczora WCPana w jego pokoju znalazłem roztargnionego i zamyślonego przeciwko zwyczajowi WCPana, i kie-

kiedy rozmawiałem z WCPanem, gadałeś zemną jak przymuszony, i nie chętnie?

ALKANDER.

Oto przyczyna była ta: że robiłem wtenczas wierszyki na imieniny WCPana, które za dni kilka następują, i byłem w paroxyzmie Poetyckim, który jest tey utrapioney natury, jako wiadomo WCPanu, że czyni człowieka rozerwanym, choćby gadał z Królami. Cóż więcey WCPan masz?

ROBERT *porywającsię z kanapy:*

Ach jaki mnie wstyd! Naznacz mnie WCPan sam karę, jaką chcesz.

ALKANDER.

Tę tylko karę naznaczam, żebyś mnie WCPan wreszcie więcey ufał, z którym od tak znacznego czasu w przyjazni zostajesz, i który tey WCPanu tyle dał dosyć gruntownych dowodow. Zdami się, że lepiey WC. Pana przekonałem o mojey sta-

łey,

łey ku niemu przychilności, niż żeby lada znak, lada gest, albo słowo, albo mina w podeyrzenie mnie u WCPana wdawać miały. A do tego: gdyby się i jakie drobnieysze przewinienie zdarzyło, tedy sama przyiaźń wyciąga, aby ono darować, a nie zaraz przyiaciela karać gniewem trwającym przez cały dzień albo i dłużey. A gdzie WCPan przyjaciela znaydziesz bez wszelkiey ludzkiey przywary? Dosyć jeżeli przyjaciel nie popełnia przestępstw przeciwko przyjaźni znaczznieyszych, a drobnieyszych strzeże się pilnie. Słowem: nie trzeba przyjacioł prędko ani obierać, ani porzucać.

ROBERT.

Ach! naco mi to teraz WCPan przypominasz? Czy nie widzisz, że się bez tego wstydzę?

ALKANDER.

WCPan chciałeś, żebym WCPanu naznaczył jaką karę. Otoż ta nauka niechay służy za karę.

RO-

ROBERT.

Nie; jeżeli o karę chodzi, tedy tego za karę nie przyimuję; to kara byłaby bardzo lekka. WCPan przyjąć przynaymniey mußsz odemnie tę karetę, którą nie q dawno zprowadziłem z Anglii.

ALKANDER.

Na cóż to potrzebno?

ROBERT.

Ja chcę tego koniecznie.

ALKANDER.

Mnieyszaż oto, kiedy WCPan chcesz koniecznie! Proszęż więc dziś WCPana z sobą w mojey nowey karecie na przeiaſzczkę po obiedzie; i idę zaraz, abym rozkazał, iżby wcześnie gotowa była. *Sciskając za rękę Roberta.* Do obaczenia, kochany Robercie.

SCENA V.

ROBERT.

Jednak. . . Jednak nie sądziłem, żeby tak prędko móy podarunek

runek przyjął, a przynaymniey, aby się tak prędko do onego kwapił. Nie żałuję w prawdzie bynaymniey tego marnego podarunku, ale jednak Alkander miał pole do dania mnie ſzczegulnego dowodu, że jego przyjaźń jeſt bynaymniey nie interesowna. Do tego zda mi się, że jego uśmiech, z którym mnie żegnał, miał trochę coś szyderſkiego, coś trochę... Ale co to! Wszak to ja teraz dopiero zawſtydziwszy ſię mojey podeyrzliwości, znowu do oney powracam! Fe! precz odemnie takie myśli! precz! precz! Sam poznaję, że jeſtem trochę do podeyrzliwości ſkłonny. Markotno mnie było, kiedy mnie Frontyn tę przywarę nie dawno tu zadał, a jednak widzę, że nie ze wszyſtkim skłamał. Dobrze, wczesnie przychodzi Kleander, aby mi myśl rozerwał. Z nim ſię też pojednać muszę, jeżeli poſtrze-

gę,

gę, że jeſt tak niewinnym jak Alkander.

SCENA VI.

ROBERT, KLEANDER, *potym* FRONTYN.

KLEANDER.

Oznaymił mi Frontyn, że się WCPan chcesz zemną widzieć. Oto jestem.

ROBERT.

Ja tylko chciałem ſię dowiedzieć o zdrowiu WCPana. Od nie jakiego czasu widzę WCPana trochę smutnego.

KLEANDER.

Jeżeli znayduje ſię wemnie niejaki smutek, tedy tego przyczyną nie co innego iest, jedno postrzeżony niejaki także smutek na osobie WCPana wzajemnie.

RO-

ROBERT.

A mego też smutku, jeżeli jaki śię wemnie znayduje, jest przyczyną także niejaki smutek postrzeżony na WCPanu. Siądźmy.

KLEANDER.

Może miałem nieszczęście niepodobać śię w czym WCPanu? Mówmy otworzyściey.

ROBERT.

Owszem ja śię boię, czy mnie to nieszczęście względem WCPana nie potkało.

KLEANDER.

Owszem ja bardzo dobrze poznaję, jak wiele WCPanu winienem, i jakie...

ROBERT.

Ach przestańmy czynić ceremonie.

KLEANDER.

Więc chciey onych WCPan przestać pierwszy, a mnie jawnie powiedzieć, co masz do mnie, jak ja jawnie zdaję śię poznawać

WCPana

WCPana ku sobie nieukontentowanie.

ROBERT.

Jeżeli mam tedy mówić nayjawniey, tedy mnie trochę obraża w osobie WCPana niedostatek tey do mnie poufałości, która między przyjaciołami bywać zwykła.

KLEANDER.

A ja jeżeli mam też powiedzieć nayjawniey, tedy przeto jestem ku WCPanu mniey smiałym, że widzę WCPana ku sobie troche podeyrzliwym. Wreszcie zaś gdybyś WCPan moje serce widzieć mógł, tedy zapewne...

ROBERT.

Więc dosyć tego; więc krótko zakończemy sprawę. Poprawmy się oba. Ja sam czuję siebie być trochę do podeyrzliwości skłonnym. Winą jednak tego nie tak moje może przyrodzenie, jak niektóre awantury, w których bywałem i szczyskiem

niektó-

niektórych fałszywych przyjaciół. Jeſtem, że tak rzekę, koniem nie tak złym z natury, jak znarowionym. Widzisz WC. Pan, jaki tym wyznaniem daję WCPanu dowod poufałości z moiey ſtrony.

KLEANDER.

Odemnie też odtąd WCPan czekay równych lub większych.

ROBERT.

Dzień więc dziś dla mnie bardzo wesoły. W porę Frontyn o gotowym obiedzie oznaymować musi. Nie wiem, czy kiedy weselszy do ſtołu ſiadałem, jako dziś ſiądę.

FRONTYN.

Obiad, Mospanie, na ſtole.

ROBERT.

Pan Alkander jeſt?

FRONTYN.

Czeka przy ſtole.

ROBERT.

Jdźmy.

AKT II.

AKT II.

SCENA I.

ROBERT, ALKANDER, FRONTYN.

ROBERT.

Oznaym, Frontynie, Panu Kleandrowi, że jeżeli chce znami jechać na przejaszczkę, kareta już zachodzi. Na tym go mieyscu czekamy.

SCENA II.

ROBERT, ALKANDER.

ALKANDER.

Wątpię, żeby przyszedł. WC. Pan go znacznie zasmuciłeś. Zaczęliśmy obiad tak wesoło, a zakończyliśmy smutnie.

ROBERT.

Y cóż ja jemu zrobiłem?

ALKANDER.

Tak nagle WMPan swóy humor ku niemu odmieniłeś! Rozmawiać z nim przestałeś, ledwie ozięble na jego pytania odpowiadać zaczałeś, ledwie nań od połowy obiadu patrzeć chciałeś.

ROBERT.

Ja temu nie winien. On pierwszy tę oziębłość począł. Posępny już do stołu usiadł, kiedy ja spodziewałem się, że będzie równie wesoły, jak ja, po moiey z nim swieżey konwersacyi, którą z nim taką miałem jak z WCPanem; nad zwyczay mniey jadł, kieliszka nawet wina na moją prozbę wypić niechciał, które jest skarbem w moiey piwnicy.

ALKANDER.

Może jest nie dyspozyt. Za to ja piłem i za niego i za siebie, Zwłaszcza że on bez tego mało jada i pija, równie jak mało też mawia. To człowiek Filozof.

RO-

ROBERT.

Otoż i ja z nim daley filozofować chcę.

ALKANDER.

Ey porzuć, Robercie, te sweje podeyrzenia tak prędkie! Przed godziną się teraz z nim poiednałeś, a teraz znowu...

ROBERT.

Cóż! mam cierpieć, żeby mną tak pogardzał!

ALKANDER.

Ale nie trzeba brać zaraz wszystkiego za pogardę. Że wina pić niechciał, już dla tego zaraz jego potępiać bez roztrząśnienia, bez sądu. Może dla tego nie pił, żeby więcey dla mnie zostało. Oto ja tak wykładam.

ROBERT.

Ey porzuć WMPan tak niewcześnie żartować!

ALKANDER.

Owszem naywcześniey żartować po tak dobrym winie.

ROBERT.

Czemuż więc tey porcelanowey

wey sztuki przyjąć nie chciał, którą mu ofiarowałem?

ALKANDER.

Z ſkromności i grzeczności.

ROBERT.

Tak wſzyſtko wytłumaczyć można!

ALKANDER.

Owszem tak wszyſtko o przyjaciołach tłumaczyć potrzeba, na dobre raczey, niż na złe.

ROBERT.

Łatwo pięknie filozofować z boku i gdzie chodzi o interes cudzy.

ALKANDER.

Jnteres WCPana nie jeſt u mnie cudzym, ale moim własnym.

ROBERT.

Nie, co w tey mierze to nie zgadzamy ſię w zdaniu. Widzę w tym człowieku coś ſkrytego, coś wymuszonego, coś...

ALKANDER.

A ja widzę w nim coś roztropnego, coś uważnego, coś pomiarkowanego. Jeżeli zaś w

nim

nim widzę jaką przywarę, tedy chyba to, że jest trochę melancholik, ale tym i WCPan jesteś i nie wiem czy ta własność przez się przywarą nazwana być może. Ale mnieysza oto, zaraz na przejaszczce ja z nim WCPana pogodzę. Wcześnie Frontyn powraca.

SCENA III.

ROBERT, ALKANDER, FRONTYN.

FRONTYN.

Pan Kleander zaraz ma nadeyść, Ale mówił, że Panowie mogą tym czasem jechać; On Panow konno dopędzi.

ALKANDER.

Słuchay Frontynie.

FRONTYN.

Słucham.

ALKANDER.

Cóż to? za co ty na mnie zmarszczyłeś się?

FRONTYN.

Ja na WCPana zmarszczyłem się! Ani myśliłem!

ALKANDER.

Jak ty na mnie patrzysz?

FRONTYN.

A jakże?

ALKANDER.

Ty na mnie patrzysz złośliwie, nie ufnie, podeyrzliwie...

FRONTYN.

Cha cha cha! Co WCPanu się stało!

ALKANDER.

A czego ty śmiejesz się? To zapewne dla tego, że ja dziś wiele wina piłem?

FRONTYN.

Ja i nie wiem, wiele WCPan dziś wina piłeś?

ALKANDER.

Nie wiesz? A na co oczy mrużysz?

FRONTYN.

Nie mrużę!

AL-

ALKANDER.

Na co gębę otwierasz?

FRONTYN.

Y cóż ztąd?

ALKANDER.

Tym samym dajesz znać, że ja wiele piłem.

FRONTYN.

Cha Cha cha! Dalipan musiał wiele pić!

ALKANDER.

Znowu śmiejesz się?

FRONTYN.

Ale jakże nie śmiać się! Co WCPanu dziś stało się? Czego WCPan odemnie chcesz?

ALKANDER.

Na co dziś na mnie podczas obiadu tak często patrzałeś?

FRONTYN.

Patrzałem na WCPana, jak zdarzyło się.

ALKANDER.

A na co ty dziś przy końcu stołu kieliszek z winem upuściłeś?

FRONTYN.

Przypadek.

ALKANDER.

Nie prawda, ty upuściłeś umyślnie!

FRONTYN.

Na coż miałem umyślnie upuszczać?

ALKANDER.

Zebyś mnie przymowił, że jak ów kieliszek upadł, tak i ja upadnę od wina, jak wſtanę od stołu. A jednak nie prawda. Oto widzisz, że mam nogi mocne.

FRONTYN.

Mospanie! WCPan czy drwisz ze mnie, czy drogi ſię pytasz?

ALKANDER.

Otoż widzisz, i teraz mnie przymawiasz, jakobym był tak pijany, że mnie tu chodząc po pokoju drogi ſię trzeba pytać. Czy ſłyszysz! Y w oczach nawet Pana tak mnie śmiesz przymawiać!

FRONTYN.

Moſpanie! co Panu Alkandrowi ſtało się!

ROBERT.

Uſtąp ztąd.

SCE-

SCENA IV.

ROBERT, ALKANDER.

ALKANDER.

A co, Robercie, czy pięknie się wydaje?

ROBERT.

Y to WCPan moję osobę udawałeś?

ALKANDER.

Tylko że trochę charakter przeładowałem nad to, jako więc na komediach czynić zwykli.

ROBERT.

Bardzo dobrze. Tak to więc zemnie WCPanu upodobało się sobie czynić igrzyłko przed moim lokajem?

ALKANDER.

Lokay bynaymniey nie poznał, że ja WCPana udaję, bo charakter osoby, jako rzekłem, jest trochę nad to natężony.

ROBERT.

Bardzo dobrze. Jak to prawdzi-

dziwe przysłowie: Prawda w winie! Teraz WCPana poznaję!

ALKANDER.

Pierwszy raz?

ROBERT.

Tak jest.

ALKANDER.

Jakże to?

ROBERT.

WCPan więc mię masz za osobę tak podeyrzliwą, że ze mnie możnaby zrobić komedia.

ALKANDER.

Mnie się zdaje, że my i dziś na teatrze jesteśmy.

ROBERT.

Y to WCPan mówisz szczerze i z przekonania? Y nie spodziewasz się tego jutro żałować?

ALKANDER.

Cóż to jutro? Czy mnie dziś WCPan masz za pianego? Ja i naczczo mam wszystkie dobre własności pijaństwa, to jest: wesoły humor i prawdę; a przeciwnie choć się miernie napiję wina, złych żadnych tego napoju nie miewam skutków.

RO-

ROBERT.

Nie odwoływasz więc tego WCPan, co twierdzisz?

ALKANDER.

Albo to ja pierwszy raz twierdzę?

ROBERT.

Nigdy jednak tak wyraźnie i energicznie.

ALKANDER.

Więc tym lepiey.

ROBERT.

Tym lepiey? Więc ubolewam bardzo, że WCPan siebie przymuszasz mieszkać z potworą podeyrzliwości.

ALKANDER.

Od takiego nazwiska móy i język i myśl są dalekie.

ROBERT.

Więc lepieybyś WCPan sobie poradził, abyś . . .

ALKANDER.

Abym WCPani porzucił, i odjechał. Nie, od tego też postępku równie dalekim jestem.

ROBERT.

Ale ja jestem nie spokoyny,

że dla WCPana jeſtem krzyżem

ALKANDER.

Nie ciężki to krzyż przyjaciela. W reszcie zaś jeżeli WC. Pan mnie wszelkiey i małey nawet przykrości oſzczędzić chceſz, tedy ſię popraw.

ROBERT.

Tym czaſem zaś niechcę być zgoła przykrym WCPanu.

ALKANDER

Tym czaſem zaś jutro WCPan będzieſz żałował, że mnie dziś wypędzaſz; choć mniey dziś nie równie wina piłeś niż ja.

ROBERT.

Jeżeli o to chodzi, tedy upewniam, że żałować nie będę.

ALKANDER.

A ja jednak nie pojadę.

ROBERT.

Wierzę temu poniekąd. Możeſz WCPan mieć swoje przyczyny.

ALKANDER.

Przyczyną moją jedyną jeſt przyjaźń moja ku WCPanu.

ROBERT.

ROBERT.

Rozumiem, przyjaźń.

ALKANDER.

Tak jest przyjaźń; a cóż inszego? Czy rozumiesz WCPan, że chcę u WCPana dostać drugiey karety?

ROBERT.

Nie, nie rozumiem, nie rozumiem. WCPana przyjaźń jest naybezinteresownieysza i nayczystsza na świecie.

ALKANDER.

WCPan to mówisz w rzeczy samey tonem szyderskim, i przeciwnie rozumiejac.

ROBERT.

Nie, chowaj Boże! Ale to Mospanie jest podeyrzliwość, brać moje słowa w przeciwnym rozumieniu. Ja mówię raczey, że WCPana przyjaźń jest nayczystsza i naybezinteresownieysza na świecie.

ALKANDER.

Dobrze więc. Teraz poznaję. Ha! kiedy tak, to prawda. Jeżeli

żeli WCPan o mnie takiego zdania jesteś, to co innego. To jedno tylko zdanie zdolne mię jest oderwać od WCPana. Wreszcie wszystkimbym WCPana kaprysom łatwo ulegał. Ale to trochę nadto i nazbyt bolesno. Jle dotąd pokazywałem, jak szacuję WCPana przyjaźń, tyle od tąd pokażę, jak szacuję móy honor. Jle dotąd miałbyś WCPan trudności w odegnaniu mnie od siebie, tyle odtąd oney mógłbyś doświadczyć w zatrzymaniu mnie przy sobie.

ROBERT.

Nie doswiadczę jednak tey trudności.

ALKANDER.

Bo też próżną byłaby. Okażę więc wraz w momencie, jak moja przyjaźń ku WCPanu była bez-interesowną, i że się bez wszelkich dóbr WCPana obeydę. Moje nawet rzeczy w ręku WC. Pana zostawuję, przyszlę po nie potym. Teraz sam tylko tegoż

momen-

momentu z dwóma memi ludźmi w teyże oto karecie wyjeżdżam, którą mi wcześnie dziś WCPan darowałeś, i która nie mniey w tym momencie zaprzężona ſtoi. Weselszey spodziewałem ſię w niey przejaſzczki, to prawda. Wreſzcie odeszlę WC. Panu w prędce tę karetę, jak po moje rzeczy przyſzlę, odeſzlę ją WCPanu, żeby w niey podobno i Pan Kleander tak w krótce wyjechał od WCPana, jako ja dziś wyjeżdżam.

ROBERT.

Może jednak to nie naſtąpi.

ALKANDER.

Zyczę. Prawda, ten oſtatni przyjaciel, który WCPanu pozoſtał, może ſię jemu wydawać bezinteresownieyſzy. Niczego on od WCPana nie przyimuje, mało nawet u W Pana je i pije.

ROBERT.

Tak jeſt.

ALKANDER.

A jednak za to ſamo WCPan

maoz

masz go w podeyrzeniu, jak mnie masz za to przeciwnie, że dobrze jadłem i piłem, i że przyjałem u WCPana tę karetę i inne niektóre fraszki

ROBERT.

Cokolwiek bądź, jednak abym WCPana w tey troikliwości spokoił, daię WCPanu rękę, że z Panem Kleandrem potrafię dotrzymać przyjaźni, chociaż z WCPanem dotrzymać nie mogłem.

ALKANLER.

Zyczę bardzo, i idę tylko, abym się z nim pożegnał, ztamtąd wsiadam prosto do pojazdu. WC. Pana żegnam teraz. Bądź zdrów.

SCENA V.

ROBERT.

Ha! to przepowiadanie o Kleandrze tak dufne nadewszystko mię boli! Otoż dokażę tego, co mu obiecałem, żeby mnie nie wie-

wiedzieć co kofztować miało, dokażę. Prawda, wftyd by mi był i bez tego oftatni, nie tylko przed Alkandrem, ale i przed wfzyftkiemi, żebym oftatniego mi pozoftałego przyjaciela w tym Kleandrze utrzymać nie mógł. Coby powiedziano? Zgoła nie do przyjaźni to człowiek! Plama dla ſławy ludzkiey groźna i fatalna! Więc cały móy punkt honoru na tym, abym Kleandra przy mojey przyjaźni zachował. Urażony on jeft teraz na mnie bardzo niewcześnie; ale nic to, przejednam go, a odtąd go lepiey menażować mufzę. Pokażę zapewne Alkandrowi, że trwać zemną w przyjaźni można. Niechay żałuje fwojey prędkości, i fwojey niestałości. O jedno ſłowo tak fię urazić! o jednę przymówkę! Niechay fobie iedzie, nie żałuję. Lecz Frontyn tu bardzo prędko i pomiefzany.

SCE-

SCENA VI.

ROBERT, FRONTYN.

FRONTYN.

Ja Mośpanie mówiłem, że Pan Alkander pomieszany, albo pjiany, uczciwszy uszy WCPana. W tey karecie, która zaszła do przejaszczki, wyjeżdża zewszystkim.

ROBERT.

Czy już tak prędko?

FRONTYN.

Rzeczy swoje kazał tam znosić. Sam żegna się z Panem Kleandrem, którego spotkał tu idącego.

ROBERT.

Słyszałeś jak się żegna, i co mówił?

FRONTYN.

Ale czy nie każesz WCPan jego gwałtem zatrzymać, nim się przespi, bo tym czasem wyjedzie?

RO-

ROBERT.

Ty mnie odpowiaday na to, o co się pytam.

FRONTYN.

To przynaymniey WCPan pozwol, żebym ſię pożegnał z ludźmi Pana Alkandra, memi przyjaciołami.

ROBERT.

A byli oni przyjaciołami twemi?

FRONTYN.

Byli tak że gdybym nie wſtydził ſię, to bym teraz do nieſzczęścia zapłakał

ROBERT.

Ten człowiek ſzczęśliwſzy za mnie!

FRONTYN.

Więc póydę Moſpanie na moment...

ROBERT.

Poczekay, jeszcze tak prędko nie wyjedzie.

FRONTYN.

Już może ſiada. Tylko ſzkatułę ſwoję zanieść do pojazdu

kazał,..

kazał, i inne niektóre drobiazgi, a razem opończę sobie nieść kazał.

ROBERT.

Poczekay, a mów mnie, co Alkander z Kleandrem rozmawiał.

FRONTYN, *udając nie składnie rozmowę obu:*

Pan Alkander ſpotkawſzy Pana Kleandra, cap jego nagle za rękę. Byway zdrów, powiada, Panie Kleandrze, ja wraz ſiadam i wyjeżdżam bez powrotu. Pan Kleander zdziwiony: Jak to? czemu? za co? dokąd? Pan Alkander: Tak okoliczności każą. Pan Kleander: Czy nie z Panem Robertem co zászło? Pan Alkander: Zyczę WCPanu, abyś był jego ſzczęśliwſzym przyjacielem niż ja jeſtem. Pan Kleander: Proſzęż mnie objaśnić, co to jeſt. WCPan mnie w wielkim pomieſzaniu zoſtawujeſz.' Na to Pan Alkander: Doſyć ze WCPanu to powiem na jego pociechę, iż Pan

Robert

Robert dał mi ſłowo, że WCPana przyjaźni nigdy nie opuści. Na tę tedy awanturę, która ſię zemną zdarza, WCPan nie uważay. Do WCPana Pan Robert jeſt teraz tym przywiązańszy. że jeden mu tylko z jego przyjacioł pozoſtajeſz. Więcey nic nie ſłyſzałem, bo wraz do WC. Pana pobiegłem z oznaymieniem, co ſię dzieje. Ale wcześnie ſam Pan Kleander nadchodzi. On WCPanu ſam reſzty dokończy. Ja poſpieſzę, żebym ſię pożegnał z mojemi przyjaciołami, jeżeli ich jeſzcze znaydę.

ROBERT.

Idź.

SCENA VI.

ROBERT KLEANDER.

ROBERT.

Słyſzałem teraz od mego lokaja, że Pan Alkander bardzo ſię ſpieſznie od nas wybiera.

KLE-

KLEANDER.

Już wyjechał.

ROBERT.

Tak prędko?

KLEANDER.

Dopiero uſiadł do pojazdu, w którym mieliśmy jechać na przejaſzczkę.

ROBERT.

Y tak więc nic z ſobą nie wziął? wſzyſtko zoſtawił?

KLEANDER.

Niektóre tylko rzeczy wziął z ſobą, które ſię wygodnie w karecie zmieścić mogły. Ale co za powod tak nagłego wyjazdu?

ROBERT.

Muſiał WCPanu namieniać, że jeſt na mnie rozgniewany.

KLEANDER.

Namieniał w prawdzie otym trochę w powſzechności...

ROBERT.

Wſzakże niech to jednak WC. Pana bynaymniey nie zraża, Owſzem naſza przyjaźń teraz z WCPanem tym jeſt mocnieyſza i pe-

pewnieyſza, że jeſt między dwóma tylko. O jednę tylko rzecz WCPana proſzę, o którą iuż prosiłem nie raz, to ieſt: abyś poſtępował ze mną poufaley i otworzyściey. Ten tylko ieden warunek.

KLEANDER.

A z moiey ſtrony ten tylko ieden warunek, o którym także WCPanu namieniałem, abyś mnie więcey ufał, i nie tak był ku mnie podeyrzliwym. Jnaczey poufałość nie ieſt podobna z moiey ſtrony, a zatym ani otworzyſtość, która z poufałości wypływa.

ROBERT.

Oto daię WCPanu rękę, daię ſłowo uczciwego człowieka, że odtąd WCPan żadnego po mnie znaku podeyrzliwości nie poſtrzeżeſz.

KLEANDER.

Daiesz mnie WCPan ważne rękoymie; ale ia iednak dam WC. Panu większą z moiey ſtrony.

Bo

Bo wraz, tego momentu, rzeczą samą naydosadniey WCPanu dowiodę, iak z WCPanem zaczynam postępować poufale i otworzyście.

ROBERT.

Czekam bardzo ciekawie takiego dowodu.

KLEANDER.

O to tym dowodem iest wyznanie moie, które czynię, że WCPana obietnicom nie wierzę.

ROBERT.

Nie wierzysz zaś WCPan?

KLEANDER.

A co? czy dosyć poufale i otworzyście?

ROBERT.

Dosyć; iestem kontent. Jakichże więc WCPan warunkow i iakiey rękoymi chcesz?

KLEANDER.

Czy raz mnie WCPan przyrzekłeś iak teraz. a iednak nie dotrzymałeś. Jakoż więc i teraz....

RO-

ROBERT.

Dobrze, zgoda. Ale iakich WCPan warunkow chcesz, i iakiey rękoymi, abyś wierzył? Jest iaki na to sposob, czy zgoła rozpoczać mam, abym mógł u WCPana wiarę znaleść?

KLEANDER.

Oto drugi daię dowod moiey szczegulney ku WCPanu otworzystości.

ROBERT.

Słucham.

KLEANDER.

Wiadomo iuż wreszcie zdamisię WCPanu, że ia żadnych moich korzyści z przyiazni WCPana nie szukam.

ROBERT.

Jestem o tym zupełnie przekonany.

KLEANDER.

Szpilki iedney nigdy od WC. Pana przyiąć nie chciałem.

ROBERT.

Tak iest: i ta WCPana bez-interesowność zachodzić się zdała

C w mo-

w moich oczach aż do zbytku, i nie byłem z tego kontent.

KLEANDER.

Pokazałem nawet, zda mi się, że stołu WCPana nie potrzebuię; bo moie iedzenie takie, iakię wszędzie łatwo znaydę.

ROBERT.

Ale na co się WCPan z tym rozwodzisz, co ia sam znam ai nad to?

KLEANDER.

A iednak na ufność WCPana ku sobie nigdy zasłużyć nie mogłem.

ROBERT.

Co było, to puśćmy w niepamięć; dosyć że od tego momentu całą moię ufność WCPan posiadasz.

KLEANDER.

Całą ufność od tego momentu?

ROBERT.

Całą od tego momentu.

KLEANDER.

Y nie są to takie obietnice iak pierwey?

R O-

ROBERT.

Doświadcz WCPan, iak chcesz

KLEANDER.

Dobrze. Oto trzeci znak moiey ku WCPanu otworzystości. Doświadczę. Ja WCPanu daię tego momentu dowody iawne moiey ku niemu poufałości, chcę też wreszcie od WCPana tegoż momentu dowodow równie iawnych iego ku mnie ufności.

ROBERT.

Czekam z niecierpliwą gotowością.

KLEANDER.

WCPan od chwili mego przyiazdu masz mnie u siebie na ściśley probie; ia WCPana dziś tylko przez puł dnia doświadczyć chcę.

ROBERT.

Wreszcie iak?

KLEANDER.

Dziś tylko przez puł dnia.

ROBERT.

Cóż tam takiego? Wszystko uczynię.

KLE-

KLEANDER.

Day mi więc WCPan klucz od ſwego gabinetu.

ROBERT.

Oto maſz WCPan.

KLEANDER.

Gdzie tam ſzkatuła WCPana ſtoi z pieniędźmi?

ROBERT.

Cha cha cha! WCPan żartuiesz?

KLEANDER.

Nie żartuię.

ROBERT.

Na cóż WCPanu taka wiadomość?

KLEANDER.

Abym tę ſzkatułę wziął, i uciekł od WCPana.

ROBERT.

Ale porzućmy żarty, bo nie o żarty tu chodzi.

KLEANDER.

Więc ieżeli WCPan mnie ufaſz, czego ſię zaſtanawiasz? WCPan mnie poczytaſz za przyiaciela ſwego prawego i boiſz ſię, żebym WCPana nie okradł?

RO-

ROBERT.

Ale WCPan mnie krzywdę czynisz takim mniemaniem!

KLEANDER.

A cóż więc mam mniemać!

ROBERT.

Ja ſię nad tym tylko zaſtanawiam, że WCPan taką obierasz zemną probę, iakbyś miał o mnie podeyrzenie, czy nie mam WC. Pana za złodzieia, i nayoſtatnieyſzego człowieka. A to mnie zapewne ſłuſznie boli.

KLEANDER.

Co ia myślę, i dla czego tak czynię, dowiesz ſię WCPan potym i w krótce. Tym czasem proba nie byłaby probą, gdybyś WCPan rzecz całą, i wſzyſtkie moie myśli mógł przeniknąć. Patrz tedy WCPan, iak być otwcrzyſtym z WCPanem. Że ſię teraz przed WCPanem z moią myślą otworzyłem, WCPan może myślisz, że ia WCPana chcę okraść.

RO-

ROBERT.

Ale dobrze, dobrze, kiedy o to chodzi. Szkatuła moia ſtoi na kantoryku przy zegarze, i klucz od tey wiſi bliſko na ścienie. Jdź WCPan, i czyń w moim gabinecie co chcesz. Ja nie przyidę, i WCPanu nie przeſzkodzę.

KLEANDER.

Ja ſię tam nie długo zabawię. Tym czasem kaź WCPan okulbaczyć zaraz dla mnie konia; bo przeiaſzczki dziś koniecznie, iak poſtanowiłem, użyć chcę. Mam niedyſpozycyą. WC. Pan też, ieżeli trwaſz w tymże przedſięwzięciu, poiedziemy razem. Y życzyłbym, bo kiedy ia ieden poiadę, to mogę wziąć z sobą WCPana pieniądze i nie powrócić.

ROBERT.

Y ieſzcze mnie WCPan z takiemi przymówkami...

KLEANDER.

Cha cha cha! (*obłapia Roberta*)

ta) Ten sam żart czy nie ieſt znakiem moiey ku WCPanu poufałości, którą obiecałem? Wſzakże iednak móy poſtępek z WCPanem, który przedſię biorę, zaprawdę ieſt dziki na pozor. Obaczyſz iednak WCPan wnet wſzyſtko, i niebędziesz ſię dziwował. Odkryię WCPanu wſzyſtko na przeiaſzczce, albo wraz po przeiaſzczce, i będzie wſzyſtkiemu koniec.

ROBERT.

Jakże chcesz ſię WCPan przeiechać, konno, czy w poieździe?

KLEANDER.

Konno zdrowiey. Cha cha cha! A co? Nie przychodzi WCPanu nic na myśl?

ROBERT.

Nic.

KLEANDER.

Ze konno łatwiey uciekać?

ROBERT.

Zebym ſię tego obawiał, nie powierzyłbym WCPanu mego gabinetu i moiey szkatuły. Będzie

wraz koń gotowy dla WCPana i dla masztalerza.

KLEANDER.

Ale ia z moim człekiem chcę iechać. Cha, cha, cha,!

ROBERT.

Dobrze, iedź WCPan z swoim.

KLEANDER *ściskając za rękę Rober:*

Do obaczenia, kochany Robercie. Jednak zda mi się, że troche iesteś pomieszany. Ale moment cierpliwości; po momencie obaczysz. Tym czasem ten moment ofiaruy na pokutę za swoię podeyrzliwość trochę zbytnią ku przyiaciołom. Ja idę abym trochę zadrzemał na WC. Pana łóżku, bo nie spałem dziś po obiedzie wedle mego zwyczaiu, dla wyiazdu Pana Kleandra.

SCENA VIII.

ROBERT.

Prawda, proba iest dosyć dzika

ka i twarda, i więcey pomieszania wewnątrz czuię niż okazuię z wierzchu; ale zabrnąłem daleko. Na włos kroku cofnąć nie można. Ta przeiaszczka mnie dobiła. Prawda, ieśli ieſt takim człekiem, za iakiego go poczytam, wielką mu krzywdę czynię i myśli takie przypuszczaiąc. Ale kto iednak ludzkie ſerce widzi? Nie byważ to na świecie, że naypodley zdradzaią ci, którzy ſię naywiększemi zdaią, i naypoczciwſzemi ludźmi? Jeżeliby podobnie ze mną Kleander poſtąpił, czego ſię naymniey iednak nie ſpodziewam, zoſtałbym brzydkim iego igrzyſkiem. Ale gdybym też teraz pokazał iaką ku niemu nieufność, gdybym ſię zdawał żałować tego, na co tak świeżo zezwoliłem, po takich świeżych oświadczeniach, o iakibym dał z ſiebie tryumf i Kleandrowi i Alkandrowi, i wszyſtkim, którzy mię za za nazbyt podeyrzliwego maią!

Więc niech będzie, cokolwiek być ma, trwam w przedsięwzięciu. Wolę się wstydzić że zostałem oszukanym, niż że w takich okolicznościach ieszcze raz pokazałem się podeyrzliwym. Więcey ważę sławę, niż maiątek. Prawda, w ręku swoim ma z ową szkatułą prawie wszystko, cokolwiek posiadam gotowego grosza; lęcz wolę to wszystko stracic, niż abym ostatniego dziś z moiey winy utracił Przyjaciela; niż aby nieprzyiaciele moi tryumfowali nademną, że dwóch ostatnich moich przyiacioł, w iednym dniu moią podeyrzliwością, i moiemi kaprysami od siebie odegnałem; słowem: niż aby tryumfował Alkander, że się iego proroctwo sprawdziło. Nie ma więc wątpliwości, co w tych ciasnotach czynić mam. Niech się bawi w moim gabinecie, póki chce; niech tam czyni co chce; i niech z onego wyszedłszy klucz mi oddaie, kiedy chce. Nie dopomnę

mnę ſię go, aż gdy przyidzie noc, i czas będzie, abym ſzedł ſpać. Niech w reſzcie wyſzedłſzy z gabinetu na koń zaraz ſiada, i iedzie gdzie chce. Wnet idę, abym koni okulbaczyć roskazał. Lecz mnie też razem na przeiaſzczkę zapraszał. Mam że iechać, czy zoſtać? . . . Głupi byłbym bardzo, gdybym iechał. Po co? Jeżeli ma ſię wrócić, iako nie wątpię, podeyrzliwości moiey dam ku niemu dowod z nim iadąc; ieżeli zaś, czego ſię bynaymniey nie ſpodziewam, wrócić ſię niema, mało, iadąc z nim poradzę, owſzem życie próżno na niebespieczeńſtwo narażę. Jdźmy więc, uczyńmy rozporządzenie. Niech iedzie sam ieden z ſwoim człowiekiem.

AKT III.

SCENA I.

FRONTYN.

Wszyſtko dziś do góry nogami chodzi, i nie mogę poiąć,

co się dziś u nas po obiedzie stało. Alkander powadził się tu naprzód zemną, przeciwko swemu zwyczaiowi, potym z Panem, i wyleciał iak błyskawica. Kleander zawsze melancholik, zamyślaiący się tak iak móy Pan, dzisiay nadzwyczay wesoły, i wziął na siebie humor Alkandra. Pan zaś móy nad zwyczay pomieszany i nie chciał z nim jechać na przeiaszczkę. Ale co mnie naybarziey zadziwia . . . Lecz wcześnie Pan, abym mu to samo oznaymił.

SCENA II.

ROBERT, FRONTYN.

ROBERT.

Frontynie, gdzie są ludzie Pana Kleandra? Jeden z nim poiechał, a dway drudzy gdzie?

FRONTYN.

Otoż to właśnie teraz WCPanu miałem mówić. Przepadli iak w ziemię i z końmi razem.

RO-

ROBERT.

Z iakiemi końmi?

FRONTYN.

Z dwuma końmi swego Pana. Byłem przypadkiem w stayni, nie postrzegłem koni Pana Kleandra; pytam się gdzie? Mówią mnie stajenni, że ludzie Pana Kleandra poprowadzili poić. Już trzy godziny poią, myśleli się potopić.

ROBERT.

Co mówisz?... Rzecz ciekawa.

FRONTYN.

Jest ieszcze ciekawsza. Tegoż czasu dwie naszych strzelcow fuzye, które wisiały w sieniach, nagle zgineły.

ROBERT.

Zaprawdę, ieżeli to wszystko proba, tedy iednak... Słuchay, uważałeś w którą stronę Kleander poiechał?

FRONTYN.

Zda się że tąż drogą, którą Alkander.

RO-

ROBERT *na stronie.*

Mógłżebym się obawiać, aby nie miał iakiey zmowy z Alkandrem?... Ach Alkandra w prawdzie charakter od tego daleki. Ale iednak przyiaciel zrywaiący przyiaźń zawsze niebespieczny, i pospolicie w nieprzyiacieli się odmieni. Słuchay Frontynie, bież, żeby móy gabinet wraz był odbity.

FRONTYN.

Zeby był odbity? Zgubiłeś WCPan klucz?

ROBERT.

Czyń wraz co każę!

FRONTYN.

Idę.

ROBERT.

Poczekay.

FRONTYN.

Y moiemu Panu zaczyna się w głowie kręcić. Czy nie było iakiey trucizny na tym dzisieyszym fatalnym obiedzie?

ROBERT *sam z sobą:*

A kiedy Kleander powróci i odbity gabinet znaydzie? całą

pracę

pracę i ciężkość, którą móy umysł poniosł, ſtracę. Nie, nie trzeba zaczynać, albo trzeba kończyć. Prawda, pobudki podeyrzenia coraz tęzſze, ale ſł ſznie mnie Kleander przeſtrzegał: na to proba. Nie trzeba się było pod tę poddawać, albo trzeba teraz wytrzymywać.

FRONTYN.

Coż ia Mospanie mam robić?

ROBERT.

Jdź, weydź na salkę, która ieſt nad drugim piątrem. Obacz, czy nie powraca Kleander. Juzby czas dawno.

FRONTYN.

Ach Moſpanie! Oto powraca Pan Alkander.

SCENA III.

ROBERT, ALKANDER mający rękę prawą zawiązaną chuſtką, FRONTYN.

ALKANDER.

Tak ieſt, powracam na moment, abym WCPanu te pieniadze odwiozł,

wiozł, które WCPanu Pan Kleander odſyła.

ROBERT.

Wziął u mnie Pan Kleander i kie pieniądze?

ALKANDER.

Które były w ſzkat le WCPana. Było tych t m podobno do dwuch tyſięcy czerwonych złotych.

ROBERT.

Tak właśnie.

ALKANDER.

Odſyła tedy te WCPanu Pan Kleander przezemnie. Są w mojey ſzkatułe, wnet one...

ROBERT.

Ale gdzie sam Pan Kleander?

ALKANDER.

Nie domaga, i leży u iednego tu chłopa WCPana, cale bliſko.

ROBERT.

Z kądże nagła choroba? czy przypadek iaki?

ALKANDER.

Przypadek, który muszę WC. Panu opowiedzieć dla WCPana

prze-

przeſtrogi. Jnaczeybym milczał. Przepowiadałem WCPanu, że ten Jegomość prędko za mną od WC. Pana wyiedzie, ale nieſpodziewałem ſię iednak, aby tak prędko, i takim ſposobem.

ROBERT.

Wiesz WCPan, iak ze mną poſtapił?

ALKANDER.

Wiem. Wſzyſtko mi powiedział. Frontynie uſtąp.

SCENA IV.

ROBERT, ALKANDER.

ALKANDER.

Powiodłosię mu z WCPanem dobrze. Powiodłoby się do końca, gdyby na tym, co zdobył, przeſtał, zwłaſzcza że zdobył dosyć. Lecz zdarzyło się mu podobnie, iako owemu psu w bayce, który niosąc mięso wpław przez rzekę, gdy cień onego ieſzcze

schwy-

ſchwycić chce, i to co nioſł z gęby upuścił, i tego co chwytał, nie doſtał. Puścił się za mną konno z trzema zbroynemi ludźmi, nie wątpiąc, że moie pieniądze z sobą wiozę, jakoż i zgadł. Lecz iednak Pan Bóg niewinney ſtronie dopomogł. Miałem mniey przy ſobie i ludzi i broni, żadnego się takiego przypadku nie ſpodziewaiąc. Wſzakże iednak powiodło się moiey obronie. Odnioſłem ranę, ale lekką. Kleander odnioſł cięższą, iż go z litości do karety z ſobą wziąć muſiałem. Gdy mi opowiedział dokładnie, iako od WCPana odiechał, cofnąć się muſiałem dla oddania WCPanu pieniędzy, zwłaſzcza żem nie wiele ieſzcze był uiechał. Dowieść iednak mego towarzyſza z ſobą nie mogłem, bo ſłabiał co raz bardziey, i ruch poiazdu był dla niego ciężki. Bałem się go wieść zatym daley, i muſiałem go zoſtawić u iednego wieśniaka, który się nadarzył.

darzył. Możefz WCPan tam kogo pofłać, lub fam go nawiedzić. Ja zaś . . .

ROBERT.

Ach dla Boga! takąż to ja gadzinę w zanadrzu nosiłem.

ALKANDER.

Ofzukał nas obu. Jeft to człowiek bywalec, praktyk, i dofkonały w fwoim rzemieśle. Ofzukał nas obu tym łatwiey, im mniey do niego podobnemi ieftešmy.

ROBERT.

Owoż człowiek, który i fzpilki odemnie przyiąć niechciał, który nawet ledwie co u mnie iadł i pił.

ALKANDER.

Nie chciał brać mniey, aby czafu fwego wziął łatwiey tyle, ile wziął.

ROBERT.

A jednak ia ieftem nazbyt podeyrzliwym człowiekiem!

ALKANDER.

Prawda; względem tego człowieka nie miałeś ieszcze WCPan

podey-

podeyrzliwości tyle, ile mieć było potrzeba. Co się mnie tycze, ia z tego ſmutnego przypadku tę mam przynaymniey korzyść, że przekonywam podobno WCPana odwożąc mu iego maiętność, iż oney nigdy chciwy nie byłem. Y przeto tylko do WCPana powracam. Skoro oddam co odwożę, wnet znowu WCPanu pokłonię. Hey Szymonie! poday tu . . .

ROBERT.

Co? WCPan znowu chceſz odiechać?

ALKANDER.

Nic pewnieyſzego. Gdybyś WCPan mnie złotem osypał, gdybyś . . .

ROBERT.

Jakże więc? To nie ma żadney nadziei?

ALKANDER.

Zadney.

ROBERT.

Dobrze więc. Proſzę tylko o ieden cierpliwości momencik. Hey Frontynie?

SCE-

SCENA V.

ROBERT, ALKANDER, FRONTYN.

FRONTYN.

Jeſtem Moſpanie.

ROBERT.

Piſtolet przynieſ!

FRONTYN.

Ach . . . piſtolet? Na co Moſpanie?

ROBERT.

Jdź mówię wraz, i przynieś.

ALKANDER.

Ale na co? Chceſz WCPan zemną poiedynkować? Jeſzcze po iedney walce nie odpocząłem, i mam rękę ranioną.

ROBERT.

Nie inaczey; WCPan z mego domu nie wynidzieſz, iedno po moim trupie; włeb ſobie tego momentu ſtrzelę?

ALKANDER.

Poczekay WCPan moment, nim oddam pieniądze.

RO-

ROBERT.

Co? WCPan rozumiesz, że żartuję?

ALKANDER.

Czegoż WC.Pan w reszcie chcesz?

ROBERT.

Abyś się WCPan dał ieszcze raz przebłagać.

ALKANDER.

Coż mam czynić?

ROBERT.

Abyś zemną pozostał.

ALKANDER.

Utraciwszy sławę? Chyba WC. Pan dozwolisz, abym żył zgoła przy WCPanu ze swego, abym się chleba kawałka na stole WC. Pana niedotknął . . .

ROBERT.

Ach . . . Frontynie pistolet!

ALKANDER.

Jakże? Czy nie słusznie się domagam?

ROBERT.

Y WCPan wierzysz, żem z przekonania prawdziwie powiedział, co mnie z ust wyleciało

w złym

w złym momencie? A do tego jeżelibym i błądził, możesz mnie nie przekonywać teraz ten postępek WCPana ze mną, te pieniądze, które odwozisz?

ALKANDER.

A na długoż mam zostać u WCPana?

ROBERT.

Poki sobie w łeb nie strzelę, iak teraz strzelić chciałem, jeżeli WCPana jeszcze raz tak urażę, jak dziś uraziłem.

ALKANDER.

Dobrze, ale pod jednym warunkiem.

ROBERT.

Pod iakim?

ALKANDER.

Abyś WCPan ten swóy warunek odwołał. Ludzie jednak iesteśmy; a ia znam naturę WC. Pana Angielską, czułą i bystrą, że takiego nawet warunku w przypadku dopełniłbyś gotow. Odwołay więc WCPan swóy warunek, ieśli mię u siebie zatrzymać chcesz.

RO-

ROBERT.

Odwoływam, jeśli WCPan tak koniecznie chcesz, ale przynaymniey miasto tego, ieśliby kiedy . . .

ALKANDER.

Dosyć. Jak WCPan zgrzeszysz, wten czas o pokucie myślić będziemy. Teraz idźmy, i odpoczniymy. WCPan rany tego umysła dobrą myślą ukoy, ja moię rękę opatrzę.

ROBERT.

Frontynie! wina dzisieyszego!

FRONTYN

Ach! to lepiey niż pistolet.

ROBERT.

Pierwszy raz dziś w życiu moim upić się muszę!

KONIEC.